

Łosiewicz-Chmurowa, Zofia

Przed świtem

Przegląd Pruszkowski nr 1, 62-77

1981

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

pudełko pełne chrabąszczy, nie mówiąc już o takich drobiazgach jak żaby różnego kalibru i koniki polne. Mieliśmy więc nie lada zabawę z Morycem, niezmordowanym w kawałach przez całe swoje zbyt krótkie życie.

Nadszedł maj, a wraz z nim imieniny pani Steffenowej, której tyle zawdzięczaliśmy niezapomnianych chwil na lekcjach polskiego. Postanowiliśmy więc uczcić ten dzień okolicznościową „jednodniówką”. Do roboty zabrały się prawie same dziewczyny, gdyż w nowym składzie klasy było mniej luminaryz polskiego wśród chłopców. Prace napisane przez nas pozwoliły wydać dość pokaźny skrypt odbity z nie-małym trudem na prymitywnym powielaczu. Autorkami prac prozą, które składały się na owe imieninowe wydawnictwo, były: Wanda Pa-wełczyńska, Basia Gnoińska, Danka Żawrocka, Teofila Jakubowska i ja — Zocha Łosiewiczówna; okolicznościowy wiersz napisał do naszej jednodniówki Heniek Pałka, jedyne męskie pióro w jednodniówce.

Jednodniówka na cześć pani Steffenowej była ostatnią przed za-kończeniem roku szkolnego inicjatywą naszej klasy. Pozostało nam już tylko pożegnać się ze szkołą, w której spędziło się dwa lata górne i chłodne, lecz pełne nadziei, koleżeństwa i radości trwania wbrew wszystkim zasadzkom losu. Nie było wątpliwości, że rozstajemy się z najpiękniejszym, mimo wszystko, rozdziałem naszego życia, więc było nam ciężko na sercu.

Pamiętam ostatnią lekcję polskiego, oczywiście przegadaną w ca-łości, głównie na temat „i co dalej?”. Siedziałyśmy z Baśką Woźnia-kowską — jak zawsze — na pierwszej ławce w rzędzie pod oknem i nie mogłyśmy uwierzyć, że od jutra rozsypie się cała nasza klasowa społeczność. Jeszcze tak niedawno, siedząc na tejsze ławce, wykazywa-łyśmy tyle inwencji, żeby rozśmieszyć wyrwanych do odpowiedzi, a w przededniu małej matury popłakiwaliśmy ukradkiem, w czym sekun-dowała nam cała żeńska część klasy.

W dniu rozdania świadectw dyrektor Zieliński dostał od nas albu-mik składający się z tylu kolorowych kartek, ilu uczniów liczyła nasza klasa. Każda z tych kartek zawierała coś „od serca” dla Ziela, który przejął w tych najtrudniejszych czasach ster naszej edukacji.

PRZED ŚWITEM

Wraz z zakończeniem pracy Kursów Przygotowawczych, które-umożliwiły młodzieży z Pruszkowa i okolic zdobycie małej matury, wyłoniła się potrzeba zapewnienia absolwentom Kursów możliwości dalszego kształcenia się. Jednocześnie do dyrektora tajnego nauczania — profesora Bohdana Zielińskiego — zgłosiły się siostry Niepokalanki, które — jak już o tym wspominałam — prowadziły komplety gimna-zjalne, pozorując naukę kroju i szycia. Siostry, nie mając odpowied-nich uprawnień od działających w konspiracji polskich władz oświato-wych, zaproponowały dyrektorowi Zielińskiemu współdziałanie w dzie-le nauczania. Porozumienie zostało zawarte na zasadzie, że siostry bę-dą kształcić młodzież od klasy I gimnazjum poczynając, aż do klasy I liceum włącznie, poczem ich wychowanki i wychowankowie zostaną

oddane pod opiekę naszego Ziela i pod jego okiem oraz kierunkiem ukończą II licealną, poczem zdadzą egzaminy maturalne.

W związku z opisanymi wyżej okolicznościami, w roku szkolnym 1942/43 nowe komplety licealne zaczęły wyrastać w Pruszkowie jak przysłowiowe grzyby po deszczu. Do dwóch istniejących od roku 1941/42, przybyło w Pruszkowie siedem nowych kompletów: jeden z programem II licealnej typu humanistycznego, obejmujący wychowanków sióstr Niepokalanek, cztery komplety klasy I licealnej typu humanistycznego oraz dwa komplety klasy I licealnej typu matematyczno-fizycznego. Łączna liczba uczniów na wszystkich kompletach licealnych w Pruszkowie wynosiła w roku szkolnym 1942/43 58 osób. Jak łatwo się domyślić, uczniami I klasy licealnej byli w ogromnej większości absolwenci Kursów Przygotowawczych.

Życie Gimnazjum i Liceum imienia Tomasza Zana zeszło więc w podziemie. Pomimo bowiem jakże różnej atmosfery, warunków i systemu nauczania — komplety były formą życia naszej szkoły. Początkowo byliśmy wszyscy trochę zagubieni i nieporadni wobec nowej sytuacji, w jakiej postawili nas tajne nauczanie. Składało się na to szereg faktów. Po pierwsze znikł zupełnie dystans, dzielący ucznia od profesora, bo i jakże tu mówić o dystansie, kiedy siedziało się z nauczycielem przy jednym stole, w mieszkaniu prywatnym, w dodatku coraz innym. Nie było mowy o normalnych sztabackich psikusach, bo i czasu szkoda i jakoś zupełnie nie wypadało w tych okolicznościach. Trzeba było natomiast mieć oczy i uszy otwarte, żeby nie dać się przyłapać, w razie czego uprzedzić kogo się da, ale też nie popadać w panikę, jeśli nie było istotnego powodu do obaw. Musieliśmy zatem bardzo szybko, „w marszu” wydorosnąć z dnia na dzień, wziąć na swoje barki, mimo zielonych lat, ciężkie brzemie, któremu na imię odpowiedzialność. Odpowiedzialność za swoje postępy w nauce, za bezpieczeństwo swoje, kolegów, nauczycieli, za ewentualną rozpacz rodziców, jeśli повинie się noga. Ani obejrzelśmy się, a nasza beztroška młodość gdzieś się nam zagubiła.

Należałam do kompletu I licealnej z językiem francuskim, na którym wszyscy uczniowie pracowali i których skład zmieniał się co jakiś czas. Zmieniały się również lokale, w których odbywaliśmy kolejne lekcje. Pamiętam, że na cele kompletu uczyczała swego mieszkania pani Alina Żarska, nasza nauczycielka francuskiego i absolwentka Gimnazjum Zana, nosząca u nas przydomek „Kassandra”. Niektóre lekcje odbywały się w domu moich rodziców przy ulicy 3 Maja 53, niektóre zaś u państwa Stankiewiczów przy ulicy Pańskiej, naprzeciw Żbikowskiego placu targowego. Polski i matematyka, prowadzone przez dyrektorską parę od Zana, znajdowały azyl w mieszkaniu państwa Ostrowskich przy ulicy Cedrowej. Najdalszy punkt naszych kompletowych pielgrzymek wypadał w Zakładzie Wychowawczym dla Dziewcząt przy ulicy Żbikowskiej 24, hen, daleko za kościołem w Żbikowie. Zakład ten prowadziły zakonnice, u których znalazł schronienie ksiądz Dobrzyński, prowadzący na naszym komplecie lekcje etyki.

Ksiądz Dobrzyński był jeszcze młody, ale w jego twarzy, niespokojnych ruchach i tonie głosu było coś, co świadczyło o przeżyciu jakiejś wielkiej tragedii, widać było, że człowiek ten siłą zmusza się w każdej chwili swego życia, aby nie poddać się załamaniu. Dlatego zawsze siedzieliśmy jak trusie na jego lekcjach, dyskutowaliśmy rzeczowo i ostrożnie, żeby go nie urazić i nigdy nie śmieliśmy zwrócić mu uwagi, kiedy lekcja przedłużała się ponad wyznaczony czas. Pamiętam, że

kiedyś tak się złożyło, że na lekcji religii u księdza Dobrzyńskiego byliśmy tylko we dwie: Krysia Miszczakówna i ja. Ksiądz w ferworze wykładu nie patrzył na zegarek i w efekcie wyszliśmy później o dobre pół godziny. Była już głęboka jesień i na dworze zrobiło się całkiem ciemno, a najgorzej, że zbliżała się godzina policyjna. Gdyby wówczas mierzone nasz czas, mogłybyśmy śmiało pretendować do medali olimpijskich. Biegliśmy wspaniałymi susami godnymi Szewińskiej przez jakieś rozmiękłe pole, jakieś wykroty i łąki, na skróty, byle zdążyć do domu przed ósmą! A kiedy dopadliśmy wreszcie pierwszych zabudowań na ulicy 3 Maja, byliśmy tak szczęśliwie, że śmiałyśmy się nieprzytomnie przez dobrą chwilę.

Postacią, która nas fascynowała od pierwszej chwili, był profesor Dymek, nasz nauczyciel historii i propedeutyki filozofii. Był to pan w wieku więcej niż średnim, słusznego wzrostu i gigantycznej tuszy. Lekcje traktował bardzo serio, ale miał duże poczucie humoru i wybaczał nam, jeśli w czasie wykładu ktoś zrobił jakąś dowcipną aluzję czy wystrzeżił udanym kalamburem! Historię znał na wylot, z wszelkimi szczegółami i okolicznościami towarzyszącymi, dlatego słuchaliśmy z dużą frajdą jego wykładów, które czasami przypominały barwną, bohaterską opowieść.

Język polski, jak już wspomniałam, wykladała nam pani Ostrowska. Prowadziło się dyskusje, tak jak w czasach szkolnych, ale nie było już w nich takiej zajadłości, gdyż niewielu było dyskutantów, a nadto przychodziliśmy na lekcje po pracy, która w latach okupacji trwała czasem 10 godzin, trudno było zatem o płomienne dysputy. „Stasia”, aczkolwiek darowała chłodny klimat dyskusji, przecież za bardzo szanowała swój przedmiot, aby nie zmuszać nas do poprawnego pisania. Dawała nam więc do opracowania różne tematy, które przynosiło się na kartkach, nigdy nie podpisywanych imieniem i nazwiskiem, bo wiadomo było, że każdy pozna swoją pracę, a w razie czego tak było bezpieczniej. Każda praca składała się z planu i wypracowania. Ocenie „Stasi” podlegała przede wszystkim zgodność wypracowania z planem. I żeby ktoś napisał dzieło na miarę samego Żeromskiego, jeśli nie trzymało się planu — dwójka murowana! Kochana, mądra i kompetentna w swym przedmiocie „Stasia”, jeśli umiem pisać w ojczystym języku zwięźle i logicznie — to zawdzięczam ów kunszt głównie jej nauce.

O ile „Stasia” wbijała nam w głowy zasady składni, gramatyki i stylistyki, o tyle jej małżonek, pan Ostrowski, czyli „Baran”, prowadzący na naszym komplecie matematykę, machnął na nas ręką. Swoje stanowisko do nas wyjaśnił wyczerpująco już na pierwszej lekcji, objaśniając nam, że wykładanie matematyki, tej królewskiej dyscypliny — humanistom, to coś beznadziejnego, właściwie miotanie pereł przed wieprze. Ustaliwszy tę podwalinę naszego z nim obcowania, Baran trzymał się jej konsekwentnie, prowadząc z nami bardzo ciekawe rozmowy na różne tematy, lecz omijając wszystko, co pachniało matematyką.

Diametralnie inny nastrój panował na lekcjach łaciny, które prowadził niezapomniany profesor Zygmunt Biskupski. Był to pan mocno zaawansowany w latach, siwiuteńki, rumiany i niebieskooki. Zawsze uśmiechnięty, kochający młodzież a nade wszystko przepadający wprost za plotkami na tematy sercowe. Chodziło się na lekcje łaciny do jego mieszkania przy ulicy Drzymały, gdzie prócz profesora rezydowały dwie równie jak on wiekowe panie. Niższa i drobniejsza była żoną

profesora, natomiast pani wysoka i koścista to była „panna Waluńca”, tak bowiem zwracali się do niej profesorstwo. Celem zgłębiania tajników składni łacińskiej i heksametru, zasiadało się u „Biskupcia” przy wielkim ciemnym stole, pokrytym serwetą, na którą składały się całe konstelacje szydełkowych kolorowych gwiazdek. Jeżeli zależało nam na tym, aby lekcja „przeszła bokiem”, wystarczyło niedbale rzucić uwagę, że, — na przykład Basia X zakochała się nieszczęśliwie w Janku Y.

— Co ty powiesz! Patrzcie państwo! — A przecież ona niedawno sympatyzowała w Sławku Z! — dziwił się profesor, wykazując jednocześnie zdumiewającą kompetencję w uczuciowych powiązaniach swych elewów. Sekundowała profesorowi w tropieniu uczniowskich miłości panna Waluńca. Ona to właśnie zatrzymała mnie kiedyś w przedpokoju, kiedy wychodziłam już po lekcji.

— Proszę pani, a pan XY to się w pani kocha, daję słowo! — szepotała przejęta. Zamurowało mnie, bo nigdy by mi to nie przyszło do głowy. W tejsze chwili wyłonił się z pokoju ów kolega, pomawiany przez pannę Waluńcę o afekt pod moim adresem, więc — nolens volens — wyszliśmy razem. Odprowadził mnie do domu, a przy pożegnaniu zaproponował, żebyśmy się spotkali.

— Spotkamy się przecież na następnej lekcji łaciny — wyrwałam się niefortunnie, gdyż następna lekcja wypadła w dniu 2 sierpnia 1944 roku. Kolega zaś był jednym z tych, którzy nie wrócili z powstania warszawskiego.

Lekcje biologii prowadziła z nami pani Jadwiga Hawrylkiewiczowa, z domu Włodarczyk, absolwentka Gimnazjum im. T. Zana, znana nam jeszcze sprzed wojny, kiedy to uczyła nas, ówczesnych pierwszoklasistów, zoologii. Była to osoba o niespotykanym wdzięku, przemiła, życzliwa i przy tym bardzo ładna. Szczególnie piękne były jej ogromne, ciemne oczy, zawsze uśmiechnięte. Podczas okupacji wychowywała paroletniego wówczas syna — Jarka. Mąż pani Hawrylkiewicz był kapitanem żeglugi wielkiej i losy wojny zaniósł go gdzieś do Anglii czy Francji. Patrząc na panią Jadwigę, na jej życie wypełnione pracą i opieką nad dzieckiem, na jej gorący patriotyzm i godność osobistą, przychodziło mi na myśl, że jest to postać wzorcową, o wiele częściej spotykana na kartach powieści niż w realnym życiu.

Kłęski, jakich doznawali Niemcy w latach 1942—43 na wszystkich frontach, miały wpływ na ich stosunek do ludności krajów okupowanych, zwłaszcza do Polaków, którzy nigdy nie złożyli broni. Represje niemieckie polegały przede-wszystkim na masowych aresztowaniach i łapankach ulicznych, których „łupy” kierowano bądź na Pawiak, bądź na przymusowe roboty do Niemiec. Poczucie zagrożenia w tamtych latach ciążyło nad społeczeństwem polskim jak ołowiana chmura. Ludzie czuli instyktownie, że nadchodzi kęska. Szukali więc ochrony i pociechy w modlitwie. Na podwórkach warszawskich kamienic, w kaplicach i kościołach, zbierały się codziennie tłumy znękanym, zrozpaczonych ludzi by razem odmawiać modlitwy i śpiewać pieśni religijne. Dawało to poczucie, że istnieje siła potężniejsza niż Niemcy i instancja sprawiedliwsza niż ziemskie urzędy, do której można się zawsze odwołać. Więc modlili się ludzie po miastach i wsiach, najbardziej chyba jednak w Warszawie, która wkrótce miała się stać teatrem jednej z najbardziej ponurych zbrodni niemieckich: ulicznych rozstrzeliwań przypadkowo zagarniętych w łapankach ludzi.

Nie ustawała także walka podziemna z okupantami. Żołnierze polscy, choć bez mundurów i dystynkcji, potrafili solidnie zalać sadzą za skórę najeźdźcom, którzy na terenie Generalnej Gubernii nie byli pewni dnia ani godziny.

Wśród walczących żołnierzy Polski Podziemnej nie brakowało naszych kolegów od Zana. W ich szeregach pojawił się na nowo podporucznik Bolesław Ostrowski. Po długim pobycie w szpitalu, gdzie przebył dwie operacje, wrócił wreszcie do normalnego życia, niestety, silnie utykając na nogę. Ułomność taka była traktowana jako niepożądany znak szczególny, bowiem pracujący w konspiracji nie powinni się niczym wyróżniać, jednak podporucznik Ostrowski dopiął swego i został włączony w nurt walki podziemnej. Początkowo pracował jako instruktor na kursach młodzieży harcerskiej, szkoląc przyszłe kadry Kedywu. Następnie, na jego usilne żądania, został mianowany dowódcą grupy, mającej wykonać wyrok śmierci na szefie oddziału młodzieżowego warszawskiego Arbeitsamtu — Fritzu Geście, mającym na sumieniu masowe wywożenie Polaków do Niemiec. Arbeitsamt mieścił się w gmachu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego przy ulicy Kredytowej. Wywiad polski ustalił, że 10 maja 1943 roku Geist około godziny 12 opuści swe biuro i — asekurowany przez ochronę — przejdzie piechotą do placu Napoleona (obecnie plac Warecki). Wyrok miał być wykonany po drodze, na ulicy Mazowieckiej.

Przed południem ludzie podporucznika Ostrowskiego zajęli stanowiska bojowe. Sam podporucznik, używający pseudonimu „Elektryk”, ukrył się w jednej z bram. Zaczęło się oczekiwanie pełne napięcia, gdyż Geist nie pokazywał się, mimo że minęła dwunasta. Dopiero kilka minut przed trzynastą pojawiła się zwalista sylwetka szefa Arbeitsamtu, w charakterystycznym tyrolskim kapeluszu z piórkami. Tuż za nim podążał gestapowiec stanowiący ochronę. Całą akcję obserwował przypadkowo redaktor Antoni Trepieński, który akurat wymieniał książki na wystawie antykwiariatu znajdującą się przy ulicy Mazowieckiej, naprzeciw miejsca egzekucji Geista. Widział on dokładnie, jak „Elektryk” wyszedł z bramy naprzeciwko, utykając przekroczył jezdnię i stanął oko w oko z Geistem. Niemiec usiłował wyciągnąć pistolet, lecz „Elektryk” był szybszy: pierwszym strzałem położył gestapowca z obstawy, następnie zaś, chwyciwszy Geista za gardło, oddał do niego z bliska kilka strzałów. W tym momencie podbiegł drugi wykonawca wyroku, „Lombroso” (Jerzy Celma-Panek) i strzelił Niemcowi w pierś. Zamachowcy zniknęli w mgnieniu oka, wszedłszy do przelotowej bramy mającej wyjście na ulicę Szkolną. Stamtąd skierowali się na ulicę Świętokrzyską, skąd przygotowana już riksza zawiozła ich w bezpieczne miejsce.

Nie wszystkie jednak akcje, podejmowane przez żołnierzy Polski Podziemnej, kończyły się bez ofiar, jak wyżej opisana. Na ulicach miast, na polach i w lasach ginęli nasi chłopcy, również koledzy od Zana. Według materiałów przechowywanych w szkole, w 1943 roku polegli następujący koledzy: Stanisław Dudkiewicz (matura 1934) zginął w czasie akcji; Romuald Fabrycki (matura 1934); Jerzy Horbaczewski (matura 1933) poległ na Zachodzie; Jan Milewski (matura 1926) zabity na granicy niemiecko-szwajcarskiej; Włodzimierz Rembalski (matura 1943) rozstrzelany na Pawiaku; Tadeusz Szuster (matura 1933) — po długim pobycie w więzieniu na Pawiaku został rozstrzelany w egzekucji ulicznej na Krakowskim Przedmieściu, pod nazwiskiem Rutkowski; Kazimierz Woźniak (matura 1943) rozstrzelany na Pawiaku; Jan Wysocki (matura 1938) zamordowany w Oświęcimiu.

Jak więc widać, żniwo poległych w 1943 roku było obfitsze niż w latach poprzednich, dlatego pierwsza matura na kompletach licealnych w Pruszkowie odbywała się w atmosferze napięcia i niepokoju. Jej termin przypadł na czerwiec 1943 roku. Lokalu na egzaminy pisemne użyczyły dzielne i gościnne siostry Samarytanki z Zakładu świętego Maura i Placyda przy ulicy Szkolnej. Egzaminy ustne odbyły się w mieszkaniu prywatnym dyrektora Zielińskiego przy ulicy Kościuszkowskiej.



Dom przy ul. Kraszewskiego (naprzeciw przystanku WKD) związany z tajnym nauczaniem

Do pierwszej w dziejach tajnego nauczania matury zostało dopuszczonych szesnaście osób, z których trzynaście zdało egzaminy z wynikiem pomyślnym. Trzy pozostałe osoby, którym nie dopisało szczęście, miały ponownie ubiegać się o maturę jesienią tegoż roku.

Podczas trwania opisanych wyżej egzaminów, nad młodzieżą zawisł groźny cień: przez Pruszków przeszła fala aresztowań, która nie ominęła także maturzystów. Dziwnym zrzędzeniem losu, zostali aresztowani podczas kilkudniowej przerwy między egzaminem pisemnym a ustnym, dwaj spośród czterech uczniów pierwszego powołanego w Pruszkowie kompletu matematyczno-fizycznego: Ryszard Kamiński i Włodzimierz Rembalski. Chłopcy ci przyjaźnili się ze sobą od wielu lat i nie rozstawali się ze sobą nigdy. Dopiero po aresztowaniu rozłączono ich na zawsze: kolega Kamiński został po kilku miesiącach zwolniony dzięki interwencji matki, z pochodzenia Niemki. Kolega Rembalski został rozstrzelany na Pawiaku. Mimo, że nie byli oni zdolni dokończyć egzaminu maturalnego, Rada Pedagogiczna Kompletów przyznała im świadectwa dojrzałości na podstawie wyników uzyskanych na egzaminie pisemnym.

Jesień 1943 roku przyniosła nasilenie się represji niemieckich, które okryły żałobą wiele domów, jednak druga tura egzaminów maturalnych w Pruszkowie odbyła się zgodnie z planem. Uczestniczyło w niej 13 osób, między innymi trzej uczniowie poprawkowi z czerwca. Ogółem pomyślne wyniki egzaminów uzyskało jedenastu licealistów.

O aspiracjach młodzieży pruszkowskiej może świadczyć fakt, iż cztery osoby spośród maturzystów 1943 roku, — rozpoczęły wyższe studia konspiracyjne. Byli to: Andrzej Stelmachowski, który został studentem pierwszego roku Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, Zygmunt Soczek wstąpił na Wydział Rolny SGGW w Warszawie, Teresa Przeszkodzińska wybrała Sekcję Ekonomii Politycznej Uniwersytetu Poznańskiego działającego wówczas w Milanówku, zaś Marian Pytkowski — został studentem Wydziału Prawa tegoż Uniwersytetu.

Na tym miejscu należy się wyjaśnienie, że profesorowie Uniwersytetu Poznańskiego, wysiedleni przez Niemców ze swego miasta, osiedli się w Milanówku, uruchomili konspiracyjną uczelnię pod nazwą Uniwersytet Ziem Zachodnich. Nazwa ta świadczyła o ogromnym znaczeniu, jakie świat naukowców Poznania przywiązywał do sprawy odzyskania przez Polskę ziem nadodrzańskich i nadbałtyckich. Jednym z organizatorów Uniwersytetu Ziem Zachodnich był profesor Zygmunt Wojciechowski, do wykładowców należeli między innymi profesor Kazimierz Tymieniecki i profesor Zdzitowiecki. Działalność Uniwersytetu Ziem Zachodnich została przerwana w pierwszych miesiącach 1944 roku, kiedy to Gestapo aresztowało wielu studentów Wydziału Prawa.

Rok szkolny 1943/44, ostatni pełni rok nauki na tajnych kompletach, rozpoczął się w atmosferze ucisku i krwawszego niż kiedykolwiek terroru ze strony okupanta. Mimo to nauka na tajnych kompletach nie tylko nie ustawała, lecz przeciwnie: zataczała coraz szersze kręgi, obejmując coraz liczniejsze grupy młodzieży. Na początku roku szkolnego 1943/44 został włączony w sieć kompletów pruszkowskich, podległych dyrektorowi Zielińskiemu, także komplet z Komorowa, na który uczęszczało 14 uczniów, dysponujący czterema pedagogami i jedną łączniczką. W ten sposób łączna liczba kompletów gimnazjalnych i licealnych pozostających pod kierownictwem dyrektora Zielińskiego rosła się do 29.

Te gremialne garnięcie się młodzieży do nauki było chyba wraz z nadziei obudzonych przez wypadki na frontach drugiej wojny. Klęska hitlerowskich Niemiec rysowała się coraz wyraźniej, co oznaczało dla nas, Polaków oraz dla innych podbitych narodów, zbliżającą się chwilę wyzwolenia. Jednocześnie świadomość nadchodzącej katastrofy wzmagala okrucieństwo Niemców, rozgramianych wszędzie, a tak niedawno jeszcze pretendujących do roli panów świata. Polacy mimo to walczyli nadal, bez względu na represje i dotkliwe straty w szeregach żołnierzy podziemia.

Wiosną 1944 roku padł w Warszawie na ulicy Grochowskiej kolega Roman Chojnacki, maturzysta z 1943 roku, po szczęśliwie wykonanym wyroku Polski Podziemnej na konfidencie niemieckim. Był powszechnie lubiany przez kolegów, którzy nazywali go „Gazdą”. W tymże mniej więcej czasie aresztowano, w grupie innych mieszkańców Pruszkowa, dwóch braci Jarzębowski, Józefa i Ryszarda synów szanowanego kupca, uczniów naszego Gimnazjum. Jednocześnie z nimi ofiarą aresztowania padł również kolega Jan Makowski, maturzysta z 1934 roku. Makowski został rozstrzelany na Pawiaku, natomiast Ja-

rzębowski 30 lipca zostali spaleni w wagonie na boczniccy w Skierniewicach w ostatnim transporcie przed wybuchem Powstania.

Termin wiosennego egzaminu maturalnego w 1944 roku wyznaczono na maj, egzaminy jesienne miały zacząć się z początkiem sierpnia. Ze względu na konieczność wzmożenia ostrożności w tym niespokojnym okresie, egzaminy odbywały się w nie tylko w Zakładzie św. Maura i Placydach sióstr Samarytanek, lecz również w sali parafialnej przy kościele Zbikowskim oraz w mieszkaniu prywatnym dyrektora Zielińskiego. Była to ostatnia matura zdawana w warunkach konspiracyjnych, która upoważniała do otrzymania świadectw dojrzałości 32 osoby, z tego 14 abiturientów liceum typu matematyczno-fizycznego i 18 humanistów.

Nie wiadomo na zasadzie jakiego prawa ludzie potrafią wyczuć nadciągającą katastrofę, jaką jest wojna. Podczas lata 1944 roku czuło się niemal namacalnie zbliżanie się czegoś strasznego, coś wisiało w powietrzu, paraliżowało strachem serca matek i żon, budziło czasem irracjonalną chęć ucieczki przed siebie, byle dalej od nieuchronnego, które dla wielu oznaczało ostateczny kres.

Nie tylko komplety gimnazjalne i licealne były przedmiotem tajnego nauczania w Generalnej Gubernii. Starsi koledzy kończyli równoległe podchorążówkę, sposobiąc się do otwartej walki zbrojnej z okupantami. Uruchamiano coraz więcej punktów produkujących granaty, montujących broń, gromadzących środki opatrunkowe i leki pierwszej pomocy. Lasy zapełniły się partyzantami, których znaczną część stanowili ludzie nie mający nic do stracenia, uciekinierzy z łap gestapo, szczęśliwcy, którym udało się zbiec z transportu i inni rozbitkowie wojny. Nocami na pola zrzucono z samolotów broń i ekwipunek wojskowy. Napięcie tamtych dni jest nie do opisania, jak nie do odtworzenia jest atmosfera oczekiwania i nadziei, strachu i euforii, rozpacz i uieniesienia — jaka poprzedzała godzinę „X”.

Także młodzież pruszkowska sposobiała się do czynu zbrojnego. Absolwenci tajnej podchorążówki, na użytek której udostępnił swoje mieszkanie nasz nieoceniony Zieliński, czekali, jak cała polska młodzież w Gubernii, na sygnał do walki. Wielu z nich dzieliło już los partyzancki, niektórzy — ze względu na bezpieczeństwo własne i swoich rodzin — przebywało poza Pruszkowem, nie rezygnując jednak z walki. Do tych ostatnich należał podporucznik Bolesław Ostrowski, wykonawca wyroku na szefie Arbeitsamtu — Geiście. Po zlikwidowaniu Geista „Elektryk” działał w Warszawie, na Pradze, jako dowódca oddziału dywersji bojowej. Brał udział w powstaniu wraz ze swą grupą, — a po upadku powstania na Pradze, ukrywał się aż do momentu wyzwolenia. W momencie wkroczenia oddziałów I dywizji imienia T. Kościuszki — zgłosił się jako ochotnik do szeregów wojska polskiego. Nie był mu jednak danym doczekać oswobodzenia Polski. Zginął śmiercią żołnierza, otoczony nimbem bohaterstwa, pod Oranienburgiem w dniu 27 kwietnia 1945 roku, na niespełna dwa tygodnie przed zwycięstwem.

Podobny los czekał na wielu z tych chłopców, którzy podczas ostatnich dni lipca 1944 roku stukali obcasami oficerskich butów, ukrytych pod cywilnymi spodniami, przenosząc w teczkach, chlebakach czy wręcz w paczkach owiniętych niedbale w papier, wojenne precjoza.

Nadszedł wreszcie dzień 1 sierpnia, bardzo ciepły, bardzo słoneczny i jasny. Wiadomość o powstaniu w Warszawie doleciała do Pruszkowa niemal natychmiast. Do walczącej stolicy pospieszyło, zgodnie z rozkazem, wielu Pruszkowiaków, dziewcząt i chłopców, wróciło zaś bardzo niewiele.

Pierwotny plan powstania w Pruszkowie stanowił część akcji „Burza” i przewidywał odcięcie dróg prowadzących z Warszawy na zachód, jak również opanowanie punktów strategicznych i zakładów przemysłowych na terenie miasta, przede wszystkim elektrowni. W razie niepowodzenia oddziały walczące w Pruszkowie miały się wycofywać do lasów sękocińskich.

Jednakże plan ten został skomplikowany przez wypadki mające miejsce podczas ostatnich dni lipca 1944 roku. Mianowicie na odsiecz jednostkom niemieckim, broniącym się w Warszawie przed nacierającymi wojskami radzieckimi i armią polską, pospieszyła z zachodu dywizja S.S. imienia Hermana Goeringa, opanowując wszystkie punkty strategiczne w Pruszkowie. Jak nietrudno się domyślić, dywizja ta była w centrum zainteresowania dowództwa polskiego podziemia, stąd od momentu pojawienia się jej, bacznie, choć z ukrycia, śledzono każdy jej ruch, obserwowano miejsca odbywanych ćwiczeń i postoju. Funkcje zwiadowczyń powierzono harcerkom należącym do Szarych Szeregów, które — udając zbieranie polnych kwiatów — zbierały w gruncie rzeczy dane o liczebności i przegrupowaniach wojsk wspomnianej dywizji. Podczas takiego właśnie rozeznania miało miejsce wydarzenie, które warto — moim zdaniem — opisać. Otóż dywizja Hermana Goeringa zajęła na peryferiach Pruszkowa stary budynek po zlikwidowanym szpitalu, gdzie była nieczynna kanalizacja. Fakt ten, na pozór nie mający nic wspólnego z pracą naszych koleżanek z Szarych Szeregów, szatańskim zrządzeniem losu zrobił z jednej z druhen tak zwanego popularnie balona. Dziewczyna ta, po dłuższej, ofiarnej i wnikliwej obserwacji terenu szpitala, po którym kręcili się Niemcy, napisała w raporcie, że zauważyła nad jednym z budynków napis, którego nie rozumie, a który — być może — oznacza jakąś nową broń lub planowaną akcję, a który brzmi: LATRINE. Do dziś grono wtajemniczonych ryczy homeryckim śmiechem na wspomnienie tego epizodu, zaś koleżanka, będąca bohaterką tej historii, mówi wówczas na swoje usprawiedliwienie:

— Coście się na mnie uwzięli? Skąd mogłam wiedzieć, co to znaczy, jak napis zrobili gotykiem?! — i rzeczywiście: gotyk zupełnie nie da się pogodzić z treścią fatalnego napisu!

Opisany wyżej krotocwilny epizod w niczym nie zmieniał faktu, że pojawienie się dywizji S.S. paraliżowało wszelką akcję zbrojną na terenie Pruszkowa, gdyż powstańcy tracili najważniejszy atut, na jaki mogli liczyć, to jest zaskoczenie wroga. Był to powód, dla którego powstanie w Pruszkowie trwało zaledwie kilka godzin, bowiem część oddziałów zrezygnowała z walki, wycofując się do lasów sękocińskich, część zaś rozproszyła się po mieście czekając na dalsze rozkazy, wobec zaistniałych zmian w układzie sił nieprzyjacielskich. Drobne potyczki, jakie stoczyły niektóre oddziały z Niemcami, spowodowały jednak kilka ofiar śmiertelnych wśród Polaków. Zginął wówczas kolega Jan Włodarczyk, najmłodszy z rodzeństwa pani Jadwigi Hawryłkiewicz, naszej nauczycielki biologii.

Okres powstania warszawskiego Pruszków przeżywał o wiele cięższej i zupełnie inaczej niż inne miejscowości podstołeczne, gdyż właśnie tutaj Niemcy zorganizowali na terenie warsztatów kolejowych słynny „obóz przejściowy”. Bramę obozu otwierano kilkakrotnie w ciągu dnia, aby wpuścić kolumny uchodźców z Warszawy, dźwigających małe dzieci, dobytek spakowany w toboły oraz udreżone życie, cudem ocalałe z płonącego i bombardowanego miasta. Żołnierze Wehrmachtu, eskortujący Warszawiaków, pilnie strzegli, aby ktoś nie zbiegł, nie wmie-

szał się w tłum. Niemieckie umiłowanie porządku nakazywało doprowadzić każdy transport wygnańców w całości do hal warsztatowych, gdzie na betonie przyrzuconym zmierzwioną, brudną słomą koczowali starcy i dzieci, kobiety ciężarne i kaleki, ranni i niemowlęta.

Szpitalne w Pruszkowie, a było ich zaledwie dwa, nie mogły sprostać zadaniu udzielania pomocy najczęściej chorym i rannym. Dokooptowano więc jeden z pawilonów szpitala psychiatrycznego w Tworkach, lecz mimo to miejsc było żenująco mało wobec morza potrzeb, ogromu cierpienia i rozpaczliwej sytuacji oczekujących na pomoc.

Ponieważ z Warszawy gnano wciąż nowe i nowe kolumny ludności, Niemcy dokonywali na terenie „obozu przejściowego” stałej selekcji, wylawiając przede wszystkim młodych mężczyzn, co do których powzięli podejrzenie o czynny udział w powstaniu. Tych, wraz z autentycznymi powstańcami wziętymi do niewoli, wywozili samochodami w kierunku Ostoi i tam rozstrzeliwali. Dopiero pod naciskiem aliantów, Niemcy musieli wreszcie przyznać powstańcom warszawskim prawa kombatantów i zaprzestać, przynajmniej oficjalnie, masowych egzekucji. Kobiety zdolne do pracy, a także dzieci na tyle duże, że mogły być przydatne w gospodarstwie, wywożono w głąb Rzeszy na Roboty. Resztę rozwożono do różnych miast i miasteczek Generalnej Gubernii, na los szczęścia i według sobie tylko wiadomego planu.

Przed wejściem na teren warsztatów, strzeżonych początkowo przez żandarmerię, a następnie przez Wehrmacht, od świtu gromadziły się tłumy ludzi, zarówno mieszkańców Pruszkowa, jak przybyszów z bliższych i dalszych okolic, poszukujących w transportach Warszawiaków swych bliskich, lub choćby jakiegoś ich śladu, wiadomości, cienia nadziei. Dopóki bramy trzęgli żandarmi, można było za cenę biżuterii, drogich zegarków lub „twardej” waluty wyciągnąć kogoś z transportu. Potem, kiedy wartę objęli żołnierze Wehrmachtu, transakcje takie były niemożliwe. I tak jednak dokazywano cudów, imano się najdziwniejszych sposobów i forteli, bo mimo wszystko Warszawiacy byli stale wyrzynani z obozu, przemycani przez bramę i upychani na kwaterach w Pruszkowie i okolicach. Działająca w Pruszkowie Rada Główna Opiekuńcza zorganizowała natychmiast po uruchomieniu „obozu przejściowego” pomoc dla ludności Warszawy. Rozdawano, głównie dzieciom i kobietom ciężarnym, jedzenie i picie oraz leki i środki opatrunkowe, pochodzące częściowo z darów społeczeństwa. Starania polskiej obsługi zmierzały do wyrwania z obozu przede wszystkim powstańców, którym groziła śmierć, matek ciężarnych i karmiących, i w ogóle każdego, kogo wyrwać się dało i jak tylko było to możliwe. Nie potrafię wymienić osób, które pracowały wówczas na terenie obozu, pamiętam tylko jedną z nich, Krysie Blichowską, wówczas młodą dziewczynę, której ofiarność przy niesieniu pomocy Warszawiakom była w tamtych dniach na ustach wszystkich.

Piękną inicjatywę podczas trwania powstania warszawskiego rozwinął kolega Józef Zieliński, maturzysta z 1926 roku, który będąc przewodniczącym kolejowej opieki społecznej, zorganizował akcję pomocy dla kolejarzy pozostających bez pracy i wysiedlonych Warszawiaków. Po upadku powstania, zetknął się z przebywającym wówczas w Pruszkowie profesorem Stanisławem Lorentzem. Profesor, nawet w tak dramatycznych momentach, jakim było powstanie, nie tracił z oczu skarbów polskiej kultury. Na jego to prośbę kolega Zieliński, zebrawszy grupę chwilowo bezrobotnych kolejarzy, zorganizował akcję ratowania z płonącej Warszawy kulturalnego mienia Polski, na które składały się eksponaty z Muzeum Narodowego, księgozbiory z Biblio-

teki Uniwersyteckiej i inne dobra. Ocena pracy kolegi Zielińskiego zawarta jest w liście profesora Lorentza z 8 lipca 1974 roku:

„Ze wzruszeniem zawsze wspominam niezwykle ofiarną i niebezpieczną pracę związaną z ratowaniem dóbr kultury w czasie ostatniej wojny i okupacji niemieckiej. Jeśli ta akcja dała tak wielkie rezultaty, to dlatego, że z niezwykłym oddaniem i często bohaterstwem współdziałały szerokie rzesze społeczeństwa, wśród nich i ta grupa kolejarzy, którą tak pięknie Pan reprezentuje”.

Zaczął się najbardziej przykry, najbardziej tragiczny okres okupacji. W dzień krążyły bez przerwy po ulicach Pruszkowa patrole niemieckie, legitymujące każdego w poszukiwaniu Warszawiaków. Niemcy wpadali także do domów o różnych porach dnia i nocy, żądając okazywania „kart rozpoznawczych” i wygarniając z domów tych, których dowody wskazywały Warszawę jako miejsce zamieszkania. W związku z tym wszyscy żyli w napięciu, nie było bowiem chyba ani jednego mieszkania w Pruszkowie, gdzie nie przechowywanoby uchodźców ze stolicy, a także z innych miejsc, skąd przybycie wydawać by się mogło nieprawdopodobne, a jednak...

W czasie, kiedy Pruszków był w centrum uwagi Niemców ze względu na ów nieszczęsny „obóz przejściowy”, kiedy roilo się wprost na ulicach od wojska i żandarmów — pojawił się w domu Janusz Osiecki, maturzysta z 1944 roku, przebywający od kilku tygodni w partyzantce, w Puszczy Kampinoskiej. Historia tego chłopca jest tak charakterystyczna dla tamtych czasów, że pozwolę sobie ją przytoczyć. Pod koniec lat trzydziestych przebywał on w Korpusie Kadetów w Rawiczu. Zakończenie roku szkolnego 1938/39 obchodzono w korpusie bardzo uroczysto, chłopcom pozwolono bawić się do wieczora, a kiedy wszyscy już byli trochę znużeni całodzienną fetą, kilku elewom, wśród których był i Janusz, wpadło do głowy urządzić seans spirytystyczny. Kilkunastoletni chłopcy, w dodatku wychowankowie szkoły wojskowej, nie są skłonni do zmyślenia, hysterii, jak również nie wykazują nadmiernej wrażliwości. Jednak, według słów Janusza, na seansie tym, traktowanym przez nich samych początkowo jako jeszcze jeden wygłup, zaczęły dziać się rzeczy niewiarygodne. W pokoju jeły wirować i przemieszczać się wszystkie sprzęty, a chłopcom uczestniczącym w seansie odechciało się żartów. Nie pamiętam w jakiej formie, ale kadeci biorący udział w tej przedziwnej imprezie porozumieli się z siłami obecnymi na seansie, zadawali im pytania. Janusz mówił o tym całkiem zwyczajnie, jakby relacjonował seans w kinie czy teatrze, ale z całym przekonaniem wierzył w to wszystko, co zostało mu wówczas objawione. Kiedy zetknęłam się z nim jeszcze na początku okupacji, twierdził spokojnie, ale z głębokim przeświadczeniem, że nie przeżyje tej wojny. Nie widać jednak było, aby brał sobie tę ewentualność zbyt do serca, zresztą był to chłopak twardy, „młody gniewny” jakbyśmy go dzisiaj określili. Uczył się na kompletach, pracował zarobkowo w elektrowni i uczęszczał na zajęcia tajnej podchorążówki. Po zdaniu matury w maju 1944 roku, zaczął mu się palić grunt pod nogami, więc przeniósł się początkowo do Warszawy, a potem poszedł do partyzantki, do Puszczy Kampinoskiej. Dokładnie w dniu 1 sierpnia, kiedy jego oddział usiłował przedrzeć się w kierunku walczącej Warszawy, Janusz został ranny. Kula utkwiała w okolicy serca i usunięcie jej w warunkach polowych było niemożliwe. Skierowano go więc do domu, celem zasięgnięcia opinii lekarza. Janusz zjawił się więc w Pruszkowie, zgłosił się do szpitala we Wrzesinie, gdzie po prześwietleniu klatki piersiowej lekarz orzekł, że kula oparła się o żebro,

wobec czego nie widzi konieczności operacji. Janusz wyruszył zatem z powrotem do Puszczy, nie dając się namówić, aby pozostał bodaj godzinę dłużej, niż to było konieczne. I już nie wrócił, zgodnie z tamtą przepowiednią. Nikt też nie potrafił powiedzieć, w jakich okolicznościach poległ, choć jego rodzice przez dłuższy czas starali się różnymi drogami uzyskać jakieś wieści.



Na zdjęciu: dom Stanisława i Felicji Matrzaków, ul. Powstańców 93a — jedno z miejsc tajnego nauczania w Pruszkowie

Podczas trwania powstania warszawskiego, w dniu 23 sierpnia 1944 roku, w Otrębusach niedaleko Pruszkowa, miała miejsce tragedia, która pozbawiła życia wychowanek Gimnazjum Zana, Stanisława Kowalczyka, świetnie zapowiadającego się poe^{tę}, w czasach gimnazjalnych współpracującego wraz z Wojciechem Żukrowskim, Jerzym Sokorskim, Aliną Żarską i innymi — przy wydawaniu czasopism uczniowskich, organizowaniu obchodów, akademii oraz innych imprez na terenie szkoły. Pod koniec lat trzydziestych był studentem polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Jego wybitnym talentem zainteresował się Jarosław Iwaszkiewicz, który wzięło go pod swoją fachową kura-

tełą i czuwał nad jego rozwojem artystycznym. Na początku lat czterdziestych spadł na Kowalczyka ogromny cios: umarła podczas porodu jego ukochana żona Anna Maria z Głowackich, stracił także nowonarodzoną córeczkę. Pisał wówczas:

Gorzkie jest życie.
Trudna jest śmierć.
Gorszy, trudniejszy jest smutek,
bo w nim i życie moje jest
i będzie moja śmierć
bez Ciebie.

W styczniu 1944 roku powstał nowy wiersz, który można uważać za przeczuje nadchodzącej śmierci:

Ty odpłyniesz, ty odlecieś za chwilę
W srebrnej łodzi o pękniętym dnie.
Ja wciąż trudniej, a ja wciąż zawilej
Będę błędził samotny we mgle.
Tylko trzeba będzie codziennie pamiętać,
Ze spotkamy się za tamtym zakrętem
Kochanie.

Przebieg zbiorowego mordy, jakiego dopuścili się Niemcy w Otrębusach, został zrelacjonowany przez Gustawa Sobolewskiego, świadka i uczestnika tego ponurego wydarzenia: „Dnia 23 sierpnia 1944 roku, w godzinach popołudniowych (15.00—17.00) jechałem kolejką E.K.D. z Pruszkowa do Podkowy Leśnej, wioząc kilka egzemplarzy prasy konspiracyjnej („Biuletyn Informacyjny”), które miałem oddać znajomym do dalszego kolportażu.

W Pruszkowie tego samego wagonu wsiadł, pamiętam, właściciel apteki, starszy już pan, mgr Bielawski.

Przed przystankiem w Otrębusach kolejka zaczęła gwałtownie hamować, słychać było wrzaski — „Halt, halt!”... Z okna wagonu zobaczyłem oddział SS. Ogarnęło mną złe przeczuje i mimowolny strach. Natychmiast posiadane „Biuletyny” wpakowałem pod ławkę, za grzejnik elektryczny.

Kolejka stanęła, wskoczyło natychmiast kilku uzbrojonych hitlerowców z krzykiem — „Raus, raus!, Schnell, schnell! Los, los! — ”... Z podniesionymi rękami kazali nam wysiadać, nie szczędząc brutalnego popychania.

Ja, żołnierz kampanii wrześniowej armii „Modlin”, członek ruchu oporu i uczestnik akcji sabotażowych w szeregach Z.W.Z. a później A.K. — poczułem się osaczony i całkowicie bezbronny. Poczułem strach, który spowodował gwałtowne bicie serca i dławienie w gardle. Oficer SS rozkazał wszystkim mężczyznom (a było nas ponad 30-tu) klęknąć z podniesionymi rękami. Kobiety przegoniono na drugą stronę toru i tam kazano im stać. Grozę potęgował ciężki karabin maszynowy, ustawiony na platformie samochodu ciężarowego, a przy nim Ukrainiec z armii RONA. (Russkaja Osvoboditielnaja Narodnaja Armia, zwana też Brygadą SS Kamińskiego — przypis autorki).

Koło mnie klęczał aptekarz mgr Bielawski, a dalej, trochę z boku, zobaczyłem swego szkolnego kolegę Stanisława Kowalczyka, poetę, studenta Uniwersytetu Warszawskiego. Był kredowo blady. Niezapomnę nigdy jego szeroko otwartych wielkich, ciemnych oczu, które w tej białej z wrażenia twarzy, wyglądałyby jak głębokie jamy w kredowej skale. Zapamiętałem też jego zgięte w łokciach, lekko drżące, podniesione ręce.

W każdej chwili spodziewałem się, że własowiec pociągnie serię ze swego karabinu. Ale stało się inaczej.

Oficer dłuższą chwilę naradzał się z kilkoma podoficerami. Po kilku minutach kazał nam wstać, opuścić ręce i ustawić się „gęsiego” z dokumentami w rękę. Ja w ustawionym szeregu byłem mniej więcej 15-ty, Stasio Kowalczyk 10-ty, aptekarz Bielawski tuż za mną. Oficer sprawdzał dokumenty. Ci co mieli tak zwane kenkarty z meldunkiem warszawskim, szli do samochodu z plandeką (t.z.w. „buda”), ci, co nie mieli nic przy sobie, albo mieli dla hitlerowca dokumenty podejrzane — byli odstawiani na bok.

Pozostali tworzyli osobną grupę. Widziałem, że Stasio Kowalczyk nie podał żadnego dokumentu i został odstawiony na bok.

Przedemną był młody chłopiec, który miał jakąś legitymację pewnie z Warszawy, ale skierowano go na bok. Chłopiec na pewno przeczuwał swój los. Upadł do nóg oficera i całując buty hitlerowca przez łyżę coś niezrozumiale krzyczał i prosił. Odstawiono go jednak do tej samej grupki, w której był Stasio Kowalczyk.

Przyszła moja kolej. Pokazałem pruszkowską kennkartę i t.z.w. Ausweis elektrowni okręgowej w Pruszkowie, który wyrobił mi mój ojciec, wieloletni pracownik tejże elektrowni. To mnie uratowało. Ausweis był opieczętowany hitlerowską „gapą” i było w nim napisane, że pracuję w terenie jako elektromonter. Dodałem jeszcze łamaną niemiecką, że jadę do naprawy instalacji elektrycznej w Podkowie Leśnej.

W pewnym momencie z grupki odstawionych na bok mężczyzn wyrwał się ten młody chłopak, o którym wspominałem wyżej i zaczął uciekać w stronę wsi Kanie. Oficer SS chwycił karabin z lunetą i z odległości chyba 200 metrów trafił śmiertelnie uciekającego. Po tym fakcie oficer kazał grupie, w której byłem ja, iść torem w kierunku przystanku Otrębusy. Było nas 10-ciu, może więcej, nie pamiętam, część została w samochodzie, a chyba 6-ciu ze Stasiem Kowalczykiem otoczyli esesmani. Szliśmy szybko, spodziewając się, że w każdej chwili ten własowiec wygarnie do nas z tyłu. Dochodząc do pustego przystanku w Otrębusach, usłyszeliśmy strzały z broni maszynowej. A więc stało się, wiedzieliśmy, że zamordowano tych odstawionych na bok 5-ciu czy 6-ciu. Tak zginął mój kolega szkolny Stanisław Kowalczyk. Co się stało z kobietami, nie wiem. Do chwili naszego odejścia stały osobno. To było straszne”.

Jak się potem okazało, Stanisław Kowalczyk jechał w to nieszczęsne popołudnie do Podkowy Leśnej, do swego mistrza — Jarosława Iwaszkiewicza. Pogrzeb młodego poety odbył się w trzy dni później. Spoczywa na cmentarzu w Pruszkowie obok żony i córeczki. Jarosław Iwaszkiewicz w swoim „Szkicu wspomnieniowym” pisał:

„...wiem na przykład, że kiedy chorowałem w 1943 roku na zapalenie płuc, pielęgnowało mnie czterech Stasiów. Jeden był to Staś Piętaś, drugi Staś Kowalczyk, a tamtych dwóch już nie pamiętam”.

Wspomnienie Jarosława Iwaszkiewicza o naszym koledze zawarte jest także w wierszu „Benzyna Aral” — z tomu „Utwory zebrane”:

Co mi tam sześć milionów! Oni
Zamordowali Staszka, Janka, Olka,
Oni zamordowali Andrzeja,
I Marysię,
I Stasia Kowalczyka i Stasia Lipskiego
I Stasia, i Stasia, i Stasia...

Mieszkańcy Otrębus, pragnąc ucić pamięć ofiar opisanej zbrodni, wszczęli starania o wzniesienie w tym miejscu pomnika, według projektu młodego architekta, syna kolegi Zbigniewa Meliona.

Nie o wszystkich jednak poległych w powstaniu warszawskim pozostał jakiś ślad czy relacja, nie każda tragedia miała świadków i kronikarzy. W archiwum naszej szkoły znajduje się lista poległych w powstaniu zaniaków, lecz nie znane są koleje ich losów, nie mogłam zatem zrelacjonować ich w niniejszym opracowaniu. Sądzę jednak, że warto by w przyszłości stworzyć coś w rodzaju „banku informacji” wychowanków Gimnazjum i Liceum Zana, gdzie gromadzono by informacje do bardziej szczegółowej historii szkoły.

Obecnie mogę tylko podać nazwiska kolegów, którzy podczas powstania ponieśli najwyższą ofiarę: Wojciech Cioth (matura 1943), Wiesław Ganin (matura 1943), Krystyna Goebel, Jerzy Mermon, Jerzy Murawski — rozstrzelany podczas powstania na Ostoi, Daniel Nawrocki, Kazimierz Radziszewski (matura 1931 r.), Jerzy Szarłik, Janusz Świerczewski (matura 1935 r.), Jerzy Trzcianka, uczeń tajnych kompletów.

Śmierć Warszawy, której świadkami byli także mieszkańcy Pruszkowa, obserwujący co noc krwawą lunę nad płonąca stolicą, odbiła się bolesnym echem również w naszym mieście. Nie wiem, czy istnieją statystyki, które ujawniałyby, ilu mieszkańców Pruszkowa walczyło w powstaniu warszawskim z bronią w ręku, ile naszych dziewczyn biegało wśród barykad w charakterze łączniczek, ilu wreszcie Pruszkowiaków zaplątało się przypadkowo w wydarzenia warszawskiego zrywu. Według posiadanych dokumentów zginęło w czasie wojny około 40 wychowanków Zana. Jednak bez względu na statystykę, patrząc na Pruszków po upadku powstania w Warszawie, mimo woli dochodziło się do konkluzji, że tutejsi mieszkańcy wnieśli swój duży wkład w powstańcze dzieło stolicy. Niepokój o los synów, córek, mężów i ojców brzmiał we wszystkich prowadzonych wówczas na ulicach Pruszkowa rozmowach, stanowił główny motyw wszystkich myśli i planów.

W każdym niemal mieszkaniu przebywali przygarnięci uciekinierzy z Warszawy. Okupacyjna vegetacja, trudna od początku, osiągnęła szczytowe spiętrzenie napięcia nerwów, poczucia niepewności jutra. Wprawdzie chodziły słuchy, że kres Niemców jest tuż, że wojska polskie i radzieckie szykują się do zadania ostatecznego ciosu, czasami słychać było nawet głuchy, daleki pomruk dział — ale po tylu latach próżnych nadziei nie łatwo jest uwierzyć w odmianę losu. Tym bardziej, że Niemcy nie dawali za wygraną. Urządzali łapanki na ulicach Pruszkowa i gnali ludzi do dymiących jeszcze zgłiszcz Warszawy, zmuszając zagarniętych do wybijania w murach ocalfających domów otworów. W miejsca te saperzy niemieccy zakładali ładunki wybuchowe i likwidowali to, co jeszcze zostało z Warszawy.

Innym celem, dla którego Niemcy zagarniali przechodniów z ulic, a także zorganizowali planową brankę wszystkich nie pracujących — było kopanie rowów przeciwzołgowych, „okopów”, jak mówił lud pruszkowski. Okopami tymi zryto całe połączenie pól, łąk i nawet placów w obrębie miasta. Ludzie kopali je, zlorzeczając Szkopom, ale gdyby mogli przecznać, że za kilka miesięcy uciekający Niemcy będą sami w nich grzeznąć, z pewnością ich gorliwość przy tej pracy byłaby o wiele większa.

Na razie jednak cały zapal i inwencja mieszkańców Pruszkowa koncentrowały się na sprawach związanych z wyżywieniem rodzin i przybyszów z Warszawy, na zdobyciu opału i jakiegoś takiego zabezpieczenia w zimową odzież tych, którym udało się wprawdzie wyjść

cało ze stolicy, lecz nie zabrali ze sobą nic. Należało również zapobiec ewentualnemu wygarnięciu przybyłej z Warszawy rodziny czy przyjaciół. Ruszyła zatem produkcja „lewych” kart rozpoznawczych, „lipnych” kart pracy i innych dowodów, mogących zabezpieczyć uchodźcom spokojny sen.

W tej atmosferze podjęto na nowo, wbrew wszystkim niesprzyjającym okolicznościom, tajne nauczanie na kompletach. Skład ciała pedagogicznego wzbogacił się o siły przybyłe z Warszawy, tylko skład uczniów na kompletach starszych klas zmniejszył się o rannych i poległych w powstaniu.

Przybysze ze stolicy, zaaklimatyzowali się tymczasem w „grodzie nad Utratą” i — jak to Warszawiacy — zaczęli rozwijać działalność celem zdobycia środków egzystencji. Inwencja w tym zakresie była przebogata: pieczono torty i ciastka, które wstawiano do sklepików, tak zwanych „owocarni”, wypiekano obarzanki sprzedawane potem na targu, handlowano ciuchami ocalałymi z pożogi warszawskiej, a także udzielano lekcji z zakresu różnych dyscyplin nauki i sztuki.

Na przykład w domu państwa Gruszczyńskich udzielała lekcji śpiewu profesor Konserwatorium Warszawskiego — pani Zofia Kozłowska, zdobywając w ten sposób skromne fundusze na dofinansowanie domowej kasy borykającej się z problemem wyżywienia legionu gości, wydobytych z obozu pruszkowskiego.

Działalność tej sędziwej, lecz energicznej, damy była w pewnym sensie kontynuacją muzycznych tradycji domu, w którym jedna z córek uczyła się śpiewu, jedna muzyki, a cała rodzina pomagała przez cały czas trwania okupacji w urządzaniu niezapomnianych koncertów dla młodzieży pruszkowskiej. Występowała na nich Maria Dobrowolska-Gruszczyńska, Ryszard Gruszczyński, Helena Lipowska, Marian Wyrzykowski i inni wokaliści. Po klęsce powstania warszawskiego nie organizowano już imprez tego typu, ze względu na żałobę narodową i niebezpieczeństwo większego zgromadzenia ludzi w domu, gdzie przechowywano wiele osób nielegalnie.

Czas później jesieni i zimy 1944 roku był więc ciężki i bolesny po świeżej tragedii powstania, toteż Nowy — 1945 — Rok wtano w Generalnej Gubernii częściej łzami niż uśmiechem. Nadśluchiwano dalekiego grania dział na wschodzie i wieści z frontu.

Jakoż na początku stycznia spadła na Pruszków zabląkana bomba, trafiając — dziwnym zbiegiem okoliczności — w poblizze miejsca, gdzie uderzyły bomby pierwszego dnia wojny. Został zniszczony jeden tylko dom, stojący nieopodal torów kolejowych, w którym zginęła cała rodzina państwa Soleckich, o ile dobrze pamiętam to nazwisko.

A Niemcy dziwnie, lecz metodycznie gdzieś się rozplywali, było ich coraz mniej. Zdążyli jednak wysadzić w powietrze urządzenia elektrowni, ale była to ostatnia już ich akcja w Pruszkowie. Pamiętam, jak w wieczór z 16 na 17 stycznia 1945 roku siedziała cała nasza rodzina przy ogarku świecy i w dotkliwym chłodziu, gdyż wybuch w elektrowni pozbawił miasto prądu, a najbliższe domy — w tym dom moich rodziców — szyb. Udawaliśmy wszyscy pogodny nastrój, ale serca nam ścinał strach. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że świt jest tuż za progami.

ZOFIA ŁOSIEWICZ-CHMUROWA